

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



EMIL ZOLA

GERMINAL

Copyright by **Tower Press**
Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Nagą równiną, w bezgwiezdną noc, czarną i gęstą jak atrament, jakiś człowiek szedł samotnie drogą z Marchiennes do Montsou. Brukowany gościniec na przestrzeni dziesięciu kilometrów przecinał pola buraczane. Wędrowiec nie widział drogi przed sobą; ogrom przestrzeni wyczuwał jedynie w podmuchach marcowego wiatru, który szeroką, lodowatą falą wiał znad mokradeł i nagich pól. Żaden cień drzewa nie plamił nieba. Prosty gościniec ciągnął się we mgle oślepiających ciemności.

Człowiek ów wyszedł z Marchiennes około drugiej w nocy. Szedł wyciągniętym krokiem drżąc z zimna w cienkiej bawełnianej marynarce i welwetowych spodniach. Pod pachą ścisnął małe zawiniątko związane kraciastą chustką. Zawadzało mu bardzo. Przekładał je ustawicznie i przyciskał do siebie usiłując wsunąć do kieszeni obydwie do krwi posiekane wichrem dłonie. W pozbawionej jakichkolwiek myśli głowie tego robotnika bez pracy i bez domu żyła jedna jedyna nadzieja, że jak słońce wszędzie, zrobi się cieplej. Szedł tak przeszło godzinę, gdy nagle, po lewej stronie, dwa kilometry przed Montsou, ujrzał czerwone światła trzech stosów węgla palących się na wolnej przestrzeni, jakby zawieszonych w powietrzu. Zrazu zawahał się wylęknięty, nie mógł jednak oprzeć się niepokonanej chęci ogrzania rąk przez chwilę.

Wszedł w głęboki wąwóz. Wszystko znikło. Po prawej ręce miał parkan z grubych desek, chroniący tor kolejowy. Po lewej wznosiło się porośnięte trawą wzgórze, spoza którego wyzierały płaskie, jednakowe dachy jakiegoś osiedla. Uszedł może ze dwadzieścia kroków. Nagle na zakręcie ukazały się znowu światła, a podróżny i tym razem nie mógł pojąć, jak mogą palić się tak wysoko na martwym niebie, podobne do dymiących księżyców. Lecz u wyjścia z wąwozu inny widok zajął jego uwagę. Ujrzał olbrzymią, bezkształtną masę zabudowań. Ponad nimi sterczał komin fabryczny. Przez brudne szyby okien połyskiwały rzadkie światła, pięć czy sześć smutnych latarń chwiało się na poczerniałych belkowaniach potwornego rusztowania. Pograżona

w ciemnościach nocy i dymu masa wydawała z siebie jeden tylko głos: ciężkie i głuche dyszenie niewidzialnej maszyny parowej.

Wędrowiec rozpoznał wreszcie kopalnię. I znów przysła mu myśl, że nie warto... I tutaj też na pewno nie znajdzie pracy. Zamiast zawrócić w stronę budynków, skierował się ku hałdzie, gdzie w żelaznych koszach żarzyły się węgle, służące równocześnie do oświetlania placu i do ogrzewania robotników. Robotnicy musieli widocznie pracować do późnej nocy, bo dotąd jeszcze szuflowano miał. Posłyszał turkot wózków na szynach i dostrzegł cienie ludzi zajętych opróżnianiem ich przy ogniskach.

– Dobry wieczór – rzekł i zbliżył się do jednego z koszów.

Odwrócony plecami do ognia stał poganiacz. Był to stary człowiek w fioletowym swetrze i króliczej czapce na głowie. Obok niego stał rosły gniadosz. Jak z kamienia wykuty, czekał na opróżnienie sześciu wózków, które właśnie przyciągnął. Pomocnik, zajęty wyładowywaniem wózków, nie śpieszył się. Był to wysoki rudy chłopak. Leniwie naciskał dźwignię. Tu, na wzgórzu, dał wiatr jeszcze ostrzejszy. Lodowaty powiew ciał jak kosą, w równomiernych odstępach.

– Dobry wieczór – odparł stary.

Zapanowało milczenie. Przybysz czując, że patrzą na niego podejrzliwie, wymienił swoje nazwisko.

– Nazywam się Stefan Lantier, jestem maszynistą. Czy nie mógłbym tu znaleźć pracy?

Płomień ogniska oświetlał go teraz jasno. Mógł mieć ze dwadzieścia jeden lat, ciemnowłosy, przystojny, o silnej, choć drobnej budowie.

Uspokojony, poganiacz potrząsnął głową.

– Pracy... tutaj... maszynista? Nie... Wczoraj dopiero zgłaszało się dwóch. Nie ma pracy – odparł.

Gwałtowny podmuch wiatru przerwał rozmowę. Po chwili Stefan zapytał wskazując na ponurą grupę zabudowań u stóp hałdy:

– To kopalnia, prawda?

Tym razem stary nie mógł mu odpowiedzieć. Dusił go silny atak kaszlu. Odplunął wreszcie, a flegma padła czarną plamą na zaróżowioną od ognia ziemię.

– Tak, kopalnia le Voreux... Osiedle robotnicze jest tuż obok.

Wyciągniętą ręką wskazał w kierunku osiedla, którego dachy dostrzegł Stefan już przedtem.

Tymczasem wózki zostały opróżnione i stary udał się na sztywnych od reumatyzmu nogach za grubym gniadoszem, który bez bicza ruszył z miejsca i kroczył powoli między szynami, nie troszcząc się o wiatr jeżący mu sierść.

Kopalnia le Voreux zarysowała się teraz wyraźniej. Stefan grzał pokrzwawione dłonie u ogniska i rozglądał się dokoła. Rozróżniał poszczególne części kopalni; sortownie o ścianach jakby posmarowanych mazią, wieżę szybu, obszerny budynek, w którym znajdowała się maszyna wyciągowa, czworokątną wieżyczkę pompy. Ta ukryta w kotlinie kopalnia, ze swymi przysadzistymi budowlami z cegły i podobnym do groźnie wzniesionego rogu kominem z cegły wydała mu się żarłocznym potworem czyhającym na życie ludzkie. Przypatrując się jej myślał o sobie, o swojej bezdomności i trwających już od tygodnia poszukiwaniach pracy. W myślach ujrzał się w warsztacie kolejowym w Lilie, skąd usunięto go za pobicie szefa. Wyrzucony stamtąd wszędzie zastawał drzwi zamknięte. W sobotę przybył do Marchiennes, gdzie, jak mówiono, były wolne miejsca w hucie. Tymczasem nie znalazł nic ani tam, ani u Sonnevillera. Niedzielę spędził ukryty wśród belek wielkiego składu drzewa, skąd o drugiej w nocy wygnał go dozorca. Nie miał ani grosza, ani okruszyny chleba. Czym skończy się ta tułaczka po nieznanym drogach, na wietrze, przed którym nie wiadomo gdzie się schronić? Tak – to była kopalnia. Nieliczne latarnie oświetlały czworobok budynków fabrycznych. Nagle otworzyły się jakieś drzwi i dojrzał paleniska kotłów. Zrozumiał teraz ten regularny, głęboki oddech niby sapanie dławiącego się potwora: to dyszała pompa.

Pomocnik poganiacza, skulony przy ognisku, nie podniósł nawet oczu na przybysza. Stefan miał właśnie schylić się po swe zawiniątko, kiedy głośny kaszel oznajmił powrót woźnicy. Powoli wyłonił się on z ciemności wraz z gniadoszem, ciągnącym sześć świeżo naładowanych wózków.

– Czy w Montsou są jakieś fabryki? – spytał Stefan.

Stary odplunął ciemną ślinę i głosem rwącym się na wietrze odparł:

– O, fabryk to tu nie brak. Trzeba tu było być przed trzema, czterema laty! Wszędzie huczały maszyny. Nie można było nastarczyć robotników. A ile zarabiali! Teraz znów trzeba zaciskać pasa. Nędza wszędzie, zwalniana z pracy, fabryki stają jedna po drugiej. Może to i nie wina cesarza... Ale po co mu było mieszać się do walk w Ameryce? A tu jeszcze zwierzęta i ludzie mrą na cholere.

I obaj zaczęli żalić się w krótkich, urywanych zdaniach. Stefan opowiadał dzieje swej

tygodniowej, daremnej wędrówki. Więc ma zdechnąć z głodu? Drogi roić się będą wkrótce od żebraków.

– Tak – mówił stary – to się źle skończy. Kto to widział, żeby tylu chrześcijan wyrzucać na ulicę.

– Nie co dzień mają teraz ludzie mięso na obiad.

– Żeby chociaż chleb mieli co dzień.

– Tak, tak. Żeby chociaż chleb.

Głosy gubiły się w ponurym świście wichru.

– To tam jest Montsou – zawołał poganiacz zwracając się na południe.

Wyciągniętą ręką wskazywał w ciemnościach jakieś niewidzialne punkty i kolejno wymieniał ich nazwy. Tam, w Montsou, idzie jeszcze cukrownia Fauvelle'a, natomiast cukrownia Hotona zwolniła część robotników. Tylko młyn Dutilleula i fabryka powroźnicza Bleuze'a, dostarczająca lin do kopalni, trzymają się jeszcze jako tako. Następnie szerokim gestem objął część widnokregu od północy: zakłady budowlane Sonnevile nie otrzymały ani połowy dawnych zamówień; z trzech wielkich pieców hutniczych w Marchiennes tylko dwa są czynne, a hucie szkła w Gagebois grozi strajk, gdyż zapowiedziano obniżkę płac.

– Wiem, wiem – powtarzał Stefan przy każdej nazwie. – Byłem tam.

– U nas – dodał poganiacz – do tej pory wszystko jest jeszcze bez zmian, chociaż i tu kopalnie zmniejszają już wydobywanie. Ot, na przykład tam naprzeciwko, w Victoire, palą się już tylko dwie baterie koksowe.

Splunął i zaprzęgnąwszy sennego konika do pustych wózków, ruszył za nim.

Stefan znał już teraz całą okolicę. Ręka starego poganiacza nadała wymowę otaczającym ciemnościom, napełniła je udręką, którą młody człowiek wyczuwał wokół siebie. Czyż to nie krzyk głodu niósł ze sobą marcowy wicher dmąc ponad nagimi polami? Podmuchy stawały się coraz gwałtowniejsze. Zdawało się, że zamrze od nich praca i zapanuje nędza, która zabije wielu ludzi. Stefan błędził wzrokiem po równinie, jednocześnie lękając się i pragnąc ją zobaczyć. Wszystko tonęło w obcych mrokach nocy i tylko bardzo daleko dostrzegał sylwetki wielkich pieców i baterii koksowych. Te ostatnie tworzyły ukośny rząd czerwonych płomieni. Dwie wieże, nieco bardziej na lewo, płonęły niebiesko jak olbrzymie pochodnie. Był w tym smutek pożaru, zdawało się, że w krainie węgla i żelaza nie ma na ponurym niebie innych gwiazd jak te nocne ognie.

– Wy może z Belgii?

Poganiacz wrócił i podjął przerwana rozmowę.

Tym razem przywiózł tylko trzy wózki. W kopalni wydarzył się wypadek: pękła jakaś śruba w windzie i robota stanęła na dobry kwadrans. U stóp hałdy zapanowała cisza. Ładowacze przestali toczyć wózki po szynach. Z głębi podziemia dochodziły tylko dalekie uderzenia młota, bijącego w żelazną blachę.

– Nie, pochodzę z południa – odparł Stefan.

Opróżniwszy wózki pomocnik poganiacza usiadł na ziemi, zadowolony z przerwy. W milczeniu podniósł na starego przygasłe spojrzenie, jakby zdziwiony jego gadatliwością. Poganiacz nie należał do ludzi rozmownych. Może spodobała mu się twarz obcego przybysza, a może ogarnęła go chęć zwierzeń, która sprawia, że starzy ludzie mówią czasami na głos sami do siebie?

– A ja jestem z Montsou – odparł. – Nazywam się Bonnemort.

– Bonnemort? – zapytał Stefan zdziwiony. – To chyba przezwisko?

Stary roześmiał się z zadowoleniem i rzekł wskazując na kopalnię:

– Tak, tak... Trzy razy wyciągano mnie stamtąd... Raz z opalonymi włosami, drugi raz, jak mnie przysypało, a trzeci raz, jak mnie woda zalała... Brzuch miałem wzdęty jak ropucha. Jak się przekonali, że nie chcę umierać, przezwali mnie Bonnemort, dla żartu.

Poweselał jeszcze bardziej. Śmiał się chrypliwie. Przypominało to zgrzyt źle naoliwionych trybów i zakończyło się strasznym atakiem kaszlu. Żarzące się w koszu węgle oświetlały jego wielką głowę o rzadkich siwych włosach i płaską twarz, bardzo bladą, pokrytą sinawymi plamami. Był małego wzrostu, szyję miał grubą, nogi powykręcane, ręce sięgające aż do kolan, dłonie kwadratowe. Podobnie jak jego koń stojący nieruchomo i nieczuły na wiatr, wyglądał jak wyciosany z kamienia. Zdawało się, że nie czuje zimna ani ostrych podmuchów wichru. Gdy się wykaszlał, odchrząknął z głębi piersi i splunął. Na ziemi ukazała się znów czarna plama.

Stefan przyjrzał mu się, przyjrzał się czarnej plamie i zapytał:

– Dawno już pracujecie w kopalni?

Bonnemort szeroko rozłożył ręce.

– Och, dawno... Nie miałem jeszcze ośmiu lat, jak pierwszy raz zjechałem do le Voreux, a teraz mam pięćdziesiąt osiem. Porachujcie. Robiłem tam na dole wszystko. Naprzód byłem chłopcem do pomocy, potem jak już byłem silniejszy, ładowaczem, a potem przez osiemnaście

lat rębaczem. Później przez te przeklęte nogi przeznaczili mnie do kopania ziemi, przesypania miazgi, do rozmaitych poprawek, aż wreszcie musieli mnie zatrudnić na wierzchu, bo doktor powiedział, że im, tam zdechnę. No i od pięciu lat jestem poganiaczem. Ładny kawał czasu, co? – pięćdziesiąt lat w kopalni, z tego czterdzieści pięć pod ziemią!

Wypadające od czasu do czasu z kosza rozżarzone węgle rzucały na jego twarz krwawe odbłaski.

– Każą mi przerwać pracę – ciągnął. – Ale ja nie chcę. Nie głupim! Poczekam jeszcze te dwa lata do sześćdziesiątki, żeby mieć sto osiemdziesiąt franków emerytury. Jakbym się wyniósł dzisiaj, daliby mi sto pięćdziesiąt. Chytre bestie! Zresztą trzymam się jeszcze zupełnie dobrze, tylko te nogi... To wszystko przez wodę. Za dużo człowiek namókł przy robocie i weszło mu pod skórę. Są takie dni, że nie mogę ruszyć nogą, żeby nie krzyknąć.

Przerwał mu nowy atak kaszlu.

– Kaszlecie też od tej wody? – spytał Stefan.

Stary zaprzeczył gwałtownie ruchem głowy. Gdy odzyskał głos, objaśnił:

– Nie, nie od wody. Przeziębilem się w zeszłym miesiącu. Nigdy dotąd nie kaszlałem, a teraz nie mogę się jakoś tego pozbyć... Wiecznie tylko pluję i pluję...

Odchrząknął i znowu splunął czarno.

– Czy to krew? – ośmielił się wreszcie zapytać Stefan.

Bonnemort powoli ocierał usta wierzchem dłoni.

– Nie, to węgiel... Tyle mam tego w środku, że do końca życia miałbym czym palić w piecu. A przecież od pięciu lat nie byłem pod ziemią. Człowiek nawet nie wiedział, że sobie taki zapas uzbiera! Ale to nic, to zdrowo!

Zapanowało milczenie. Z kopalni dochodziły równomierne uderzenia młota; z głębin nocy wiatr przynosił skargi głodnych i zmęczonych. Przy ogniu, który przygasł, stary ciągnął dalej swoje wspomnienia.

Tak, tak, i on, i jego rodzina nie od wczoraj znają się z kilofem. Pracują w kopalni od chwili powstania Towarzystwa Węglowego w Montsou przed stu sześciu laty. Jego dziad, Wilhelm Maheu, jako piętnastoletni chłopak odkrył pokłady węgla w Requillart. Była to pierwsza kopalnia Towarzystwa, stara, dziś już opuszczona, niedaleko cukrowni Fauvelle'a. Wszyscy o tym wiedzą, a pierwszy szyb nazwano szybem Wilhelma od imienia dziadka. Bonnemort go nie znał, opowiadają, że był silny i tęgi. Umarł w sześćdziesiątym roku życia. Jego ojciec, Mikołaj

Maheu zwany Rudym, zginął w kopalni mając czterdzieści lat. Pogłębiano wówczas le Voreux.

Nastąpiło obsunięcie. Zawaliło się wszystko – ani śladu nie zostało po człowieku. Dwaj jego wujowie i trzech bracia również stracili tu życie. Jego, Wincentego Maheu, który wyszedł z kopalni prawie cało, postradawszy tylko siłę w nogach, uważali wszyscy za szczęściarza. Ale cóż robić – pracować trzeba! Szli do kopalni jedni po drugich – najpierw ojcowie, potem dzieci, męczy się tam teraz jego syn, Toussaint Maheu, jego wnuki i reszta rodziny. Mieszkają wszyscy w osiedlu. Sto sześć lat pracy u jednego chlebowodawcy! Najpierw dziadkowie, teraz prawnuki. – Niejeden mieszczuch nie potrafiłby opowiedzieć tak dziejów swojej rodziny, co?

– Tak, tak, byleby było co jeść – mruknął znowu Stefan.

– Właśnie do tego mówię – odparł stary. – Póki jest chleb, można żyć!

Bonnemort zamilkł i zwrócił oczy w stronę kolonii robotniczej. W oknach zaczęły zapalać się światła. Na wieży w Montsou zegar wybił czwartą. Było coraz zimniej.

– Bogate jest to wasze Towarzystwo? – spytał Stefan.

Stary podniósł ramiona w górę, a później opuścił je, jak gdyby uginał się pod ciężarem złota.

– Jeszcze jak! – odparł. – Może nie takie bogate jak sąsiednie Towarzystwo w Anzin, ale i tak ma tyle milionów, że ani byś porachował... Dziewiętnaście kopalń, z czego trzynaście czynnych, le Voreux, la Victoire, Crévecoeur, Mirou, Saint-Thomas, Madeleine, Feutry-Cantel i inne jeszcze, a sześć służy za szyby odwadniające albo wentylacyjne, jak Réquillart... Dziesięć tysięcy robotników, koncesje na obszarach sześćdziesięciu gmin, dzienna produkcja pięć tysięcy ton, kolej łącząca wszystkie kopalnie, warsztaty, fabryki!... Ho, ho, pieniędzy im nie brak!

Zadudniły po szynach wózki. Gruby gniadosz nastawił uszu. Windę widocznie już naprawiono, ładowacze wzięli się na nowo do roboty. Zaprzęgając konia poganiacz zwrócił się doń łagodnie:

– Nie przyzwyczajaj się do gadulstwa, leniu jeden! Gdyby tak pan Hennebeau dowiedział się, co robisz na postojach.

Stefan spoglądał zamyślony w ciemność.

– Więc kopalnia jest własnością pana Hennebeau? – zapytał.

– Nie – wyjaśnił stary – pan Hennebeau jest naczelnym dyrektorem. Otrzymuje zapłatę jak i my.

Stefan wskazał ruchem ręki otaczający ich bezmiar mroku:

– Więc czyjeż to wszystko?

Ale Bonnemort dostał nagle tak silnego ataku kaszlu, że nie mógł pochwycić tchu. Kiedy odplunął wreszcie i otarł czarną pianę z warg, odparł wśród wzmagających się podmuchów wiatru:

– Czyje? A no, nie wiadomo... Pańskie!

I dłonią wskazał jakiś punkt w ciemności, jakieś odległe, niewidzialne miejsce, zamieszkałe przez tych, dla których rodzina Maheuów od stu lat wydobywała węgiel z głębi ziemi. W jego głosie zabrzmiał zabobonny lęk, jak gdyby mówił o jakimś niedostępnym przybytku, kryjącym w swym wnętrzu syte bóstwo, które pasło się ich krwią, a którego nigdy nie oglądali.

– Tak, tak, byle mieć chleba do syta – powtórzył Stefan po raz trzeci, pozornie bez związku.

– Za pięknie by to było!

Koń ruszył, a starzec powłókł się za nim pociągając nogami jak inwalida. Skurczony obok wywrotnicy pomocnik nie drgnął nawet. Siedział z brodą utkwioną między kolanami, tępo zapatrzony w przestrzeń.

Stefan podniósł z ziemi zawiniątko, ale nie odchodził. Na plecach czuł lodowate podmuchy wiatru, a na piersiach żar bijący od ognia. Może powinien jednak zwrócić się do zarządu kopalni o pracę? Stary mógł się nie orientować tak dobrze. Zresztą zadowoli się byle czym, przyjmie jakiegokolwiek zajęcie. Dokąd pójść i co począć w tej wygłodzonej bezrobociem okolicy? Zdechnąć pod płotem jak bezdomny pies? A jednak wahał się.

Spowita gęstym mrokiem kopalnia le Voreux wzbudzała w nim lęk. Podmuchy wiatru były coraz bardziej porywiste, jakby wiał od coraz rozleglejszych przestrzeni. Jedynym światłem rozjaśniającym martwe niebo był czerwony blask, jakim broczyły w ciemnościach wielkie piece. Przyczajona w swej jamie jak zły zwierz kopalnia dyszała ciężko, utrudzona trawieniem oddanych na jej pastwę ciał ludzkich.

II

Położona wśród pól, na których uprawiano zboże i buraki, osada robotnicza Dwieście Czterdzieści spała wśród ciemnej nocy. W mroku majaczyły kontury czterech ogromnych kompleksów składających się z małych domków, kompleksów przypominających koszary lub

szpital. Ustawione w równoległe szeregi, przedzielone były szerokimi ulicami. Przed każdym domkiem znajdował się ogródek. Przepływający nad równiną wiatr targał porwanymi siatkami ogrodzeń i niósł ze sobą ich skargę.

W drugim bloku, pod numerem szesnastym, w mieszkaniu rodziny Maheuów nikt się nie ruszał. Jediną izbę na piętrze zalegały głębokie ciemności, przygniatając swym ciężarem pogrążanych we śnie, śmiertelnie utrudzonych ludzi. Mimo zimna panującego na dworze w pokoju było duszno i gorąco: w powietrzu unosiły się wzywy ludzkich ciał.

W izbie na parterze kukulka zegara odezwała się cztery razy. Ale nikt się nie poruszył. Rozlegały się tylko świszczące oddechy i dwa głośne chrapania. Pierwsza poderwała się Katarzyna, z przyzwyczajenia policzyła przez sen cztery uderzenia zegara dolatujące z dołu, nie miała jednak siły rozbudzić się zupełnie. Wysunęła spod kołdry nogi, namacała zapalki i zapaliła świecę. Ale nie wstała z łóżka. Głowa chwiała jej się i ciążyła do tyłu, jakby chciała opaść z powrotem na poduszkę.

Blask świecy rozjaśnił kwadratową izbę o dwóch oknach. Stały w niej trzy łóżka, szafa, stół, dwa orzechowe krzesła; poczerniałe od starości, ostro odcinały się od żółto malowanych ścian. I to było całe umeblowanie. Na gwoździu wisiało trochę łachmanów, na podłodze stał dzbanek i czerwona miska służąca za miednicę. W łóżku po lewej stronie spał najstarszy syn Zachariasz, chłopak dwudziestoletni, ze swym jedenastoletnim bratem, Jankiem. W łóżku po prawej stronie spało obejmując się ramionami dwoje malców, Lenora i Henryk. Dziewczynka miała sześć lat, chłopiec cztery. Trzecie łóżko dzieliła Katarzyna z dziewięcioletnią Alzirą; była ona tak drobna i szczupła na swój wiek, że siostra nie odczuwałaby wcale jej obecności, gdyby nie garb małej kaleki, który urażał ją w bok. Przez otwarte oszklone drzwi widać było wąską sionkę, rodzaj alkowy, w której stało czwarte łóżko, zajmowane przez rodziców, i kołyska z najmłodszym dzieckiem, trzymiesięczną Estelką.

Katarzyna zdobyła się na rozpaczliwy wysiłek. Przeciągnęła się, zanurzyła dłonie w rudych włosach opadających na czoło i kark. Jak na piętnaście lat była jeszcze bardzo drobna. Spod wąskiej koszuli widać było jedynie sine stopy, jakby wytatuowane węglem, i delikatne ramiona, których mleczna białość odbijała od ziemistego koloru twarzy, zniszczonej stałym myciem czarnym mydłem. Ziewnęła raz jeszcze, ukazując wspaniałe zęby i blade anemiczne dziąsła. Walczyła ze snem. Jej szare oczy łzawiły z niewyspania, a ciało wydawało się nabrzmiałe znużeniem.

Z komórki rodziców dobiegł pomruk. Maheu postękiwał niewyraźnie:

– Psiakrew! Już czas! Zapaliłaś światło, Katarzyno?

– Tak ojcze. Na dole wybiła czwarta.

– No to ruszajże się prędzej! Jakbyś wczoraj mniej tańcowała przy niedzieli, zbudziłabyś nas dzisiaj wcześniej... A to próżniacze życie! – Burczał coś jeszcze pod nosem, ale sen zmorzył go na nowo i słowa przeszły w chrapanie.

Dziewczyna wstała i boso, w koszuli zaczęła krzątać się po izbie. Przechodząc obok łóżka Henryka i Lenory, narzuciła na nich zsuniętą kołdrę. Nie zbudzili się pograżeni w głębokim, dzieciennym śnie. Alzira nie spała już i bez słowa odwróciła się na bok, zajmując wygrzane miejsce starszej siostry.

– Zachariasz, Janek, czas wstawać! – wołała Katarzyna stojąc przy łóżku braci, którzy spali z twarzami w poduszce.

Musiła potrząsnąć starszego za ramię. Kłął pod nosem, jej zaś przyszło do głowy ściągnąć z nich kołdrę, żeby zmusić do wstania. Widząc, jak wymachują gołymi nogami, zaczęła się śmiać.

– Wynoś się, co za głupie żarty! – krzyknął ze złością Zachariasz siadając na łóżku. – Nie lubię tego! Psiakrew... że też znowu trzeba wstawać!

Chudy, wyrosnięty, o długiej twarzy, na której ciemniały kępki rzadkiego zarostu, miał podobnie jak cała rodzina jasne włosy i bladą, anemiczną cerę. Obciągnął koszulę, nie przez wstydlivość, ale dlatego, że było mu zimno.

– Już czwarta – powtarzała Katarzyna. – Dalej, wstawajcie! Ojciec będzie się gniewał!

Janek zwinął się w kłębek, zamknął z powrotem oczy i rzekł:

– Daj mi święty spokój, ja śpię!

Zaśmiała się dobrodusznie. Był tak mały, jego członki o zgrubiałych stawach tak drobne, że objąwszy go ramionami podniosła bez trudu. Wirywał się. Jego małpia, ziemista twarz, o odstających uszach i małych, zielonych oczach, pobladła ze złości, że jest taki słaby. Nie powiedział ani słowa, tylko ugryzł ją w prawą pierś.

– Szkaradniku jakiś! – szepnęła tłumiąc okrzyk bólu i postawiła go na ziemi.

Milcząca Alzira podciągnęła kołdrę pod brodę. Nie zasnęła. Mądrymi oczami kaleki wodziła za ubierającym się rodzeństwem. Nowa kłótnia wybuchła przy misce z wodą. Chłopcy odepchnęli Katarzynę, bo za długo się myła. Koszule fruwały w powietrzu, a oni, zaspani jeszcze, załatwiali się bez skrępowania jak szczenięta, które wychowały się razem. Katarzyna

pierwsza była gotowa. Włożyła górnicze spodnie i płócienny kaftan, włosy wsunęła pod niebieską chustkę. W tym czystym, męskim stroju wyglądała jak chłopak. Tylko lekkie kołysanie się bioder zdradzało, że jest kobietą,

– Poczekaj, jak stary wróci, będzie się złościł, że łóżko nie posłane... Powiem mu, że to twoja wina – rzucił złośliwie Zachariasz.

Starym nazywano dziadka Bannemort, który pracował w nocy, a kładł się ze świtem, tak że łóżko nie ostygło nigdy, zawsze ktoś w nim leżał.

Katarzyna nie odpowiedziała nic, tylko przykryła je kołdrą.

Od kilku chwil z sąsiedniego mieszkania dobiegały odgłosy krzątania się. Domki robotnicze, zbudowane przez Towarzystwo jak najmniejszym kosztem, miały ściany tak cienkie, że słychać było każdy szelest. Rodziny tręcały się niejako łokciami i żaden szczegół osobistego życia sąsiadów nie pozostawał w ukryciu, nawet dla dzieci. Na schodach rozległo się ciężkie stąpanie, a wkrótce potem ktoś miękko opadł na łóżko z westchnieniem ulgi.

– Aha – powiedziała Katarzyna – Levaque poszedł do roboty, a Bouteloup przyszedł do Lewaczki.

Janek roześmiał się złośliwie, nawet oczy małej Alziry zabłyśły.

Każdego ranka zabawiali się historią tego trójkąta małżeńskiego w sąsiedztwie. Rębacz Levaque przyjął jako sublokatora kopacza i żona miała teraz dwóch mężów; jednego we dnie, drugiego w nocy.

– Filomena kaszle! – podjęła Katarzyna nasłuchując.

Mówiła o najstarszej córce Levaque'ów, wysokiej, dziewiętnastoletniej dziewczynie, kochance Zachariasza, z którym miała już dwoje dzieci. Była chora na płuca. Otrzymała zajęcie sortowaczki, gdyż nie nadawała się do pracy pod ziemią.

– Ta to ma święte życie – mruknął Zachariasz. – Wysypia się do szóstej.

Wciągnął spodnie, podszedł do okna i otworzył je. Osiedle ożywało, w oknach zapalały się światła. I znowu w izbie doszło do sprzeczki: Zachariasz wychylił się, żeby podpatrzeć, jak z domku Pierrona, mieszkającego naprzeciwko, wyjdzie Dansaert, starszy sztygar z le Voreux, którego posądzano, że sypia z Pierronką. Tymczasem Katarzyna wołała, że Pierron od wczoraj pracuje we dnie, więc Dansaert nie mógł tam spać tej nocy. Lodowate powietrze wdierało się do izby, a oni klócili się, każde upierało się przy swoim. Nagle rozległ się krzyk. To Estelka, której zrobiło się zimno, zaczęła płakać.

Obudziło to Maheu. Co mu się stało, że tak dziś zasnął? Klął tak głośno, że w przyległej izbie dzieci nie śmiały już pisnąć ani słowa. Janek i Zachariasz powoli kończyli się myć. Alzira przyglądała im się w dalszym ciągu szeroko otwartymi oczyma. Tylko Lenora i Henryk spali dalej mimo zgiełku.

– Katarzyna, podaj mi świecę! – zawołał Maheu.

Zapięła kaftan i zniosła ojcu świecę. Bracia musieli się ubierać przy skąpym świetle wpadającym przez drzwi. Ojciec wstawał. Katarzyna w grubych wełnianych pończochach zeszła po omacku do izby na dole i zapaliła drugą świecę, żeby przyrządzić kawę. Saboty całej rodziny stały pod kredensem.

– Przystaniesz ty się drzeć, bachorze jeden! – wrzasnął Maheu rozwścieczony krzykami Estelki.

Małego wzrostu, jak stary Bonnemort, podobny był do niego. Miał wielką głowę, płaską, ziemistą twarz i jasne, krótko przystrzyżone włosy. Dziecko przerażone widokiem wzniesionych nad sobą muskularnych ramion wrzeszczało jeszcze głośniejsze.

– Daj jej spokój! Wiesz przecież, że to nic nie pomoże – odezwała się żona wyciągając się pośrodku łóżka.

Obudziła się przed chwilą i narzekała teraz, że nigdy nie dadzą jej się wyspać. Czy nie mogą wynieść się po cichu? Spod nasuniętej kołdry wyglądała tylko jej podłużna twarz o grubych rysach. Ta trzydziestodwuletnia kobieta zniszczona już była życiem w niedostatku i siedmiokrotnym macierzyństwem. Z oczyma utkwionymi w sufit mówiła powoli do ubierającego się męża. Żadne z nich nie zwracało uwagi na małą, siniejącą od krzyku.

– Nie mam ani grosza, słyszysz, a dziś dopiero poniedziałek. Do wypłaty jeszcze sześć dni. Tak nie może być dłużej. Wszyscy razem przynosicie dziewięć franków. Jakże to ma wystarczyć? Jest nas w domu dziesięcioro.

– Jak to dziewięć franków? – zaprotestował Maheu. – Ja i Zachariasz przynosimy po trzy, to razem sześć, Katarzyna i ojciec po dwa, to razem cztery; sześć i cztery to dziesięć, a jeszcze Janek franka, to jedenaście

– Tak jedenaście, ale nie liczysz niedziel i dni bez pracy. Nigdy nie dostaję więcej jak dziewięć... rozumiesz?

Nie odpowiedział, zajęty szukaniem na podłodze swego skórzanego paska. Po chwili wyprostował się i rzekł:

– Nie narzekaj, stara, nie narzekaj, ja jeszcze i tak dobrze się trzymam. Są tacy, co mają po czterdzieści dwa lata jak ja, a przenoszą ich do naprawek.

– Możliwe, ale i co z tego?... Co ja mam robić bez pieniędzy, powiedz? Nie masz nic?

– Mam dwa sous.

– Schowaj je sobie na piwo. Mój Boże! Co ja pocznę? Jeszcze sześć dni! Maigrat wyrzucił mnie wczoraj za drzwi, winniśmy mu już sześćdziesiąt franków. Spróbuję pójść do niego jeszcze raz, ale jak mi odmówi?...

Leżąc nieruchomo Maheudka mówiła dalej przygnębionym głosem, od czasu do czasu przymykając powieki, gdy raziło ją światło. Opowiadała o pustym kredensie, o tym, że dzieci proszą o chleb z masłem, a tu nawet na kawę nie ma, o złej wodzie, od której dostaje się kłucia w boku, o długich dniach, kiedy trzeba oszukiwać głód jedząc gotowane liście kapusty. Musiała podnieść głos, gdyż krzyk Estelki głużył jej słowa. Krzyk ten stawał się nie do zniesienia. Maheu porwał dziecko z kołyski, rzucił je na łóżko obok matki i wyksztusił z wściekłością:

– Weź ją, bo ją uduszę! To czort nieznośny! Nic jej nie brak, ma co jeść, a drze się głośniej od innych.

Estelka zaczęła ssać. W ciepłe łóżka, pod kołdrą, uspokoiła się zaraz i słychać było już tylko mlaskanie warg chciwych pokarmu.

– Czy państwo z Piolaine nie mówili ci nic, żebyś. do nich przyszła? – podjął Maheu po chwiał milczenia.

Kobieta skrzywiła się ze zniechęceniem.

– Spotkałam ich. Rozdają ubrania biednym dzieciom... Zaprowadzę dziś do nich Lehorę i Henryka. Żeby mi tak dali chociaż z pięć franków!

Znowu zapanowało milczenie. Maheu był gotów. Chwilę stał bez ruchu, wreszcie zakończył rozmowę:

– Cóż chcesz? Tak to już jest. Pomyśl lepiej, z czego zrobić zupę na wieczór. Gadanie nic nie pomoże, wolę już być przy robocie.

– Pewnie – odparła żona. – Zgaś świecę, nie potrzebuję przyglądać się moim myślom.

Maheu dmuchnął. Zachariasz i Janek schodzili już na dół; poszedł za nimi. Schody trzeszczały pod ich ciężkimi krokami. Alkowa i izba pogrążyły się znów w ciemności. Malcy spali, nawet Alzira przymknęła powieki. Tylko matka wpatrywała się w ciemności, podczas gdy Estelka ssała jej zwiędłą pierś mruczając jak kocię.

Na dole Katarzyna gotowała śniadanie. Pod płytą żelaznej kuchenki o dwóch fajerkach tliły się bez przerwy węgle na żelaznym ruszcie. Towarzystwo przydzielało co miesiąc każdej rodzinie osiemset kilo odpadków węglowych. Twarde węgle nie chciały się rozpalać, więc dziewczyna nie gasiła ich wieczorem, zasuwała tylko fajerki, a rano rozniecała tłący się jeszcze ogień dorzucając parę kawałków drobnego węgla. Postawiwszy na fajerce sagan z wodą, przykucnęła przed kredensem.

Izba, dość obszerna, zajmowała bowiem cały parter, i bardzo czysta, miała ściany pomalowane na zielono, a podłogę posypaną białym piaskiem. Prócz kredensu z lakierowanej jedliny umeblowanie składało się ze stołu i kilku krzeseł z tego samego drzewa. Przyklepione do ścian jaskrawe obrazki, ofiarowane przez Towarzystwo podobizny cesarza i cesarzowej, złożone postacie żołnierzy i świętych stanowiły jedyne kolorowe plamy na jasnym i gładkim tle izby, ozdobionej poza tym różowym pudełkiem z kartonu, stojącym na kredensie, i barwnie malowanym zegarem z kukułką, którego tykanie wypełniało pustą przestrzeń. Obok drzwi wiodących na górę było wejście do piwnicy. Pomimo panującej w izbie czystości unosił się w niej zastarzały zapach gotowanej cebuli zatruwając powietrze i tak już przesycone ostrymi wyziewami z kopalni.

Katarzyna spoglądała z namysłem do wnętrza kredensu. Znajdowała się w nim tylko resztkę chleba, odrobina masła i spory kawałek białego sera. Miała z tego zrobić śniadanie dla nich czworga. Wreszcie zdecydowała się, ukroiła jedną kromkę i położyła na niej plasterkę sera, potem ukroiła drugą, pociągnęła ją lekko masłem i zlepiała je razem. Była to tak zwana cegielka, podwójna kanapka, jaką każdy robotnik brał ze sobą rano do kopalni. Niebawem wszystkie cztery cegielki leżały na stole, przygotowane z surową sprawiedliwością – największa dla ojca, a najmniejsza dla Janka.

Mimo że Katarzyna wydawała się pochłonięta gospodarstwem, nie zapomniała widocznie historii o sztygarze i Pierronce, którą opowiedział jej Zachariasz, gdyż uchyliła drzwi wejściowe i wyjrzała na dwór. Wiatr dął wciąż jeszcze. Coraz liczniejsze światła błyskały w oknach osiedla, skąd dolatywały odgłosy porannego krzątania. Jedne za drugimi otwierały się drzwi domów i czarne szeregi górników znikwały w ciemnościach nocy. I po co tak stoi na zimnie, kiedy zapychacz Pierron na pewno śpi sobie spokojnie i dopiero o szóstej pójdzie do pracy! Mimo to jednak trwała na stanowisku i spoglądała na dom po drugiej stronie ogródków. Ciekawość jej wzrosła na widok otwierających się drzwi. Ale to tylko mała Lidka, córka Pierronów,

wychodziła do pracy.

Słyszając bulgotanie Katarzyna odwróciła się. Szybko zamknęła drzwi i podbiegła do kuchenki: woda kipiała i zalewała ogień. Nie było już kawy, musiała więc po raz drugi zalać wczorajsze fusy. Osłodziła płyn melasą. Ojciec i bracia schodzili właśnie z góry.

– Psiakość! – zaklął Zachariasz powąchawszy kawę – a to dopiero lura!

Maheu wzruszył ramionami z rezygnacją.

– Cóż chcesz, przynajmniej gorąca. I to coś warte!

Janek pozgamał okruszki chleba i wrzucił je do kubka. Katarzyna zlała resztę kawy do blaszanych manierek. Przy migotliwym świetle kopcącej świecy wszyscy czworo połykali szybko śniadanie stojąc.

– No, jazda – zawołał ojciec. – Grzebiemy się jak jaśnie państwo.

Przez niedomknięte drzwi dobiegł ich głos matki:

– Weźcie wszystek chleb ze sobą, dla małych mam jeszcze trochę makaronu.

– Dobrze, dobrze! – zawołała Katarzyna.

Zasunęła fajerki i postawiła na nich resztę wczorajszej zupy dla dziadka, żeby zjadł gorącą, gdy wróci do domu o szóstej. Każde z nich wyciągnęło spod kredensu swoje saboty, zarzuciło sznurek od manierki na ramię i schowało cegielkę na plecy, między koszulę a kaftan; wszyscy razem wyszli z domu. Mężczyźni szli przodem, dziewczyna za nimi; ona gasiła świecę i przekręcała klucz w zamku. Dom pogrążył się z powrotem w ciemności.

– I znów się spotykamy – powiedział mężczyzna, który zamykał właśnie drzwi sąsiedniego mieszkania.

Był to Levaque z synem Bébertem, chłopcem dwunastoletnim, wielkim przyjacielem Janka. Katarzyna, zdziwiona, stłumiła śmiech i szepnęła Zachariaszowi do ucha:

– A to co?

Bouteloup nie czekał już nawet na odejście męża. Jedne za drugimi gasły światła w osiedlu. Jeszcze jedno trzaśnięcie drzwiami i pogrążyło się ono z powrotem we śnie. Kobiety i dzieci wyciągały się teraz swobodnie w przestronniejszych łózkach. Z pociemniałego miasteczka sunął w podmuchach wiatru długi rząd cieni w stronę le Voreux. Górnicy szli z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Z tyłu jak garb sterczała im wsadzona pod kaftan cegielka. Ubrani w cienkie drelichy drżeli z zimna, lecz nie przyśpieszali kroku, rozsypani bezładnie wzdłuż drogi, tupocząc jak stado bydła.

III

Stefan zdecydował się wreszcie wejść na teren kopalni. Ludzie, których pytał o pracę, kręcili przecząco głowami, ale radzili, żeby poczekał na przybycie starszego sztygara. Pozostawiono mu zupełną swobodę. Błąkał się między słabo oświetlonymi budynkami, pełnymi mrocznych zakamarków, wśród niepokojącego labiryntu sal i pięter. Wszedł na jakieś ciemne, w półprzeznite schody, minął wąski chwiejący się mostek, a następnie sortownię, pogrążoną w takich ciemnościach, że musiał wyciągnąć ręce, żeby na coś nie wpaść. Nagle zabłysła przed nim para ogromnych, żółtych oczu. Znajdował się pod wieżą szybu, w hali kontrolnej, u samego wejścia do kopalni.

Sztygar Richomme, tęgi mężczyzna o twarzy dobrotliwego żandarma, przeciętej siwym wąsem, zmierzał właśnie do biura kontrolera.

– Czy nie potrzeba tu robotnika do jakiegokolwiek pracy? – zapytał Stefan.

Richomme chciał powiedzieć: nie – ale powstrzymał się i odchodząc rzekł jak inni:

– Zaczekajcie na pana Dansaerta, starszego sztygara.

U zejścia do kopalni stały cztery latarnie. Ich reflektory jasno oświetlały żelazne poręcze, dźwignie sygnałów i prowadnice, pomiędzy którymi ślizgała się winda. Resztę olbrzymiej ciemnej sali, podobnej do nawy kościoła, wypełniały ruchome cienie. Tylko lampiarnia połyskiwała w głębi. W biurze kontrolera paliła się mała lampka podobna do gasnącej gwiazdy. Przed chwilą rozpoczęto pracę. Żelazne trawersy tętniły nieustannym grzmotem, kręciły się koła wózków, za którymi biegali wozacy. Pośród tych hałaśliwych czarnych przedmiotów, będących w ciągłym ruchu, migały pochylone plecy robotników.

Stefan stał przez chwilę nieruchomo, ogłuszony, oślepy. Wiejące ze wszystkich stron prądy zimnego powietrza przejmowały go lodowatym chłodem.. Zrobił kilka kroków, przyciągnięty widokiem maszyny, której metalowe człony połyskiwały przed jego oczyma. Znajdowała się ona nieco w tyle, o jakieś dwadzieścia pięć metrów od zjazdu, w osobnej sali położonej trochę wyżej. Tak mocno osadzona była na fundamencie z cegieł, że mimo iż pracowała z siłą czterystu koni parowych, wznoszenie się i opadanie jej olbrzymich tłoków nie przyprawiało go nawet o

najlżejsze drgnienie. Obsługujący maszynę robotnik stał z ręką na korbie, wsłuchany w dzwonki sygnałów, ze wzrokiem utkwionym w tablicę orientacyjną, na której widniał przekrój kopalni poprzez wszystkie piętra. Podłużne rowki przedstawiały szyby, a przesuwające się na sznurkach kawałki ołowiu – krążenie wind. Na dwa olbrzymie bębny, koła o promieniu pięciu metrów, nawijały się i rozwijały w odwrotnych kierunkach dwa stalowe kable z taką szybkością, że wyglądały jak smugi szarego pyłu.

– Uwaga! – krzyknęło na Stefana trzech robotników dźwigających olbrzymią drabinę.

O mało go nie rozgnietli. Oczy jego oswajały się powoli z półmrokiem. Przyglądał się długim, trzydziestometrowym linom wznoszącym się w pędzie ku wieżycze, przepływającym przez walce i zanurzającym się prostopadle w szybie. U ich końca uczipione były klatki wyciągowe. Walce spoczywały na potężnym rusztowaniu żelaznym, podobnym do wiązania dzwonnicy. Płynnie jak ptak, bez najmniejszego szumu, bez najmniejszego wstrząsu mknęła tam i z powrotem olbrzymia lina, która mogła unieść do dwunastu tysięcy kilogramów z szybkością dziesięciu metrów na sekundę.

– Uwaga, do wszystkich diabłów! – krzyknęli znowu robotnicy przenosząc drabinę, by zbadać walce po lewej stronie.

Wolnym krokiem Stefan zawrócił do biura. Przelot potężnych lin nad głową oszałamiał go. Drżąc z zimna spoglądał na znikające i wynurzające się klatki, uszy rozdzierał mu turkot jadących wózków.

U wylotu szybu funkcjonował sygnał, ciężki młot na dźwigni poruszanej liną. Jedno uderzenie znaczyło: stać! Dwa: jazda w dół! Trzy: jazda do góry! Były to jakby nieustanne uderzenia maczug górujące nad rozgwarem.

Wtórowały im dzwonki. Robotnik obsługujący młot wykrzykiwał przez tubę rozkazy dla maszynisty. Pośród tego zgiewku klatki ukazywały się i znikały, opróżniały i napępniały z taką szybkością, że Stefan nie mógł zdać sobie sprawy ze skomplikowanego mechanizmu ich działania.

Jedno tylko było dla niego widoczne: szyb połykał po dwudziestu, trzydziestu ludzi na raz z taką łatwością, jakby nie czuł tej porcji. Od czwartej rano robotnicy zaczęli zjeżdżać pod ziemię. Nadchodzili od strony baraku, boso, z latarkami w rękę, i w małych grupkach czekali, aż zbierze się ich dostateczna ilość. Cicho jak zwierz nocny zjawiała się czteropiętrowa klatka, zahaczała się żelaznymi pazurami, z każdego przedziału wyciągano po dwa wózki napępnione węglem, na

ich miejsce wtaczano próżne lub naładowane kłocami drzewa. Do próżnych wózków wsiadali górnicy po pięciu do każdego, tak że jeżeli wszystkie były do dyspozycji, mogło się ich pomieścić czterdziestu. Z tuby dobywał się głuchy, niewyraźny pomruk komendy, a czterokrotne uderzenie młota zapowiadało zjazd „mięsa”. Drgnąwszy lekko klatka zniknęła cicho jak rzucony w głąb kamień. Jedynym śladem, jaki po niej pozostawał, było drżenie sunącego w dół kabla.

– Ile metrów w głąb? – spytał Stefan stojącego obok górnika o zaspanym wyglądzie.

– Pięćset pięćdziesiąt cztery! – odparł tamten. – Ale są cztery podszybia, pierwsze na głębokości trzystu dwudziestu metrów.

Zamilkli obaj spoglądając na sunący teraz w górę kabel.

– A jakby się urwało? – podjął Stefan.

– Ano, jakby się urwało... – zdanie to uzupełnił wymowny gest górnika.

Nadeszła jego kolej. Niestrudzona klatka ukazała się znowu. Wszedł do niej z towarzyszami; zniknęła, by w niespełna cztery minuty wrócić po nowy ładunek.

Przez pół godziny szyb pożerał ludzi mniej lub bardziej żarłocznie, zależnie od tego, jak głęboko zjeżdżali. Nie ustawał jednak ani na chwilę, wciąż głodny – olbrzymie trzewia zdolne strawić całe plemię ludzkie. Pośród martwych ciemności klatka wynurzała się w milczeniu z nienasyconej głębi.

Stefan doznał znów tego samego nieprzyjemnego uczucia, jakie ogarnęło go na hałdzie. Po co się upierać? Starszy sztygar odprawi go z niczym tak samo jak inni. Niewytłumaczony lęk kazał mu ruszyć z miejsca. Zatrzymał się dopiero na dworze, koło hali maszyn. Przez otwarte drzwi ujrzał siedem kotłów i dwa ogromne piece. W obłokach białej, syczącej pary palacz podsyczał ogień. Już na progu czuć było żar bijący od paleniska.

Uszczęśliwiony, że może się ogrzać, Stefan skierował się w tamtą stronę. Po drodze napotkał jeszcze jedną grupkę górników zmierzających do kopalni. Była to rodzina Maheuów i dwaj Levaque'owie. Łagodny wyraz idącej na przedzie Katarzyny, którą wziął za chłopca, natchnął go myślą, żeby jeszcze raz zaryzykować to samo pytanie – może tym razem mu się poszczęści?

– Słuchajcie, kolego, nie potrzeba tutaj robotnika do jakiegokolwiek pracy?

Dobytający się z ciemności głos przestraszył nieco Katarzynę. Spojrzała na Stefana zaskoczona. Ale idący za nią Maheu dosłyszał pytanie i wdał się w krótką rozmowę. Nie, nie potrzebowano nikogo. Ten bezdomny robotnik wzbudził jego zainteresowanie. Pożegnawszy się z nim, rzekł do swoich:

– I pomyśleć, że człowieka też mógłby spotkać taki los... Nie trzeba narzekać... Niejeden chciałby się mordować tak jak my.

Grupa skierowała się do ubieralni, obszernej sali z grubsza tylko otynkowanej, gdzie pod ścianami stały szafy zamknięte na kłódki. Pośrodku sterczał żelazny piec bez drzwiczek, tak naładowany rozżarzoną węglą, że kawałki jego z trzaskiem wypadały na ubitą ziemię. Blask bijący od ogniska stanowił jedyne oświetlenie sali. Czerwone refleksy tańczyły po brudnych szafach i pokrytym węglowym pyłem suficie.

Wchodząc do sali Maheuowie usłyszeli wybuchy śmiechu. Około trzydziestu górników z lubością wygrzewało się przy ogniu. Zanim zjechali pod ziemię, przychodzili tutaj nasycić się ciepłem i zabrać go nieco ze sobą do wilgotnej kopalni. Tego ranka panowała tu wesołość głośniejsza niż zwykle. Przedmiotem żartów była Mouquette, osiemnastoletnia robotnica z sortowni, poczciwa dziewczyna, której olbrzymie piersi i pośladki rozpierały roboczy kombinezon. Mieszkała w Requillart z ojcem, starym stajennym Mouque'em, i bratem wozakiem w nadszybiu. Każde z nich rozpoczynało pracę o innej porze i dziewczyna udawała się do kopalni sama. Po drodze zabawiała się z kochankami, których zmieniała co tydzień. Latem chronili się w zbożu, zimą pod ścianami zabudowań. Mouquette przechodziła z rąk do rąk, zawsze jednak wybierając sobie górników. Kiedy pewnego dnia wytknięto jej jakiegoś gwoździarza z Marchiennes, wybuchnęła gniewem i oświadczyła, że za bardzo się szanuje, aby zadawać się z obcymi, i że da sobie rękę odciąć, jeżeli ktoś jej udowodni, że widział ją kiedykolwiek z kim innym jak z górnikiem.

– Więc to już nie ten wielki Chaval? – zaśmiał się któryś z robotników. – Wziąłś sobie teraz tego małego? Ależ jemu by trzeba drabiny!... Widziałem was za Requillart i mogę przysiąc, że musiał wleźć na kamień...

– No to i co z tego? – odparła wesoło Mouquette. – Co cię to obchodzi? Nikt cię nie prosił, żebyś go podsadzał!

Ten prostoduszny żart wzmógł jeszcze wesołość górników. Ich rozprażone ramiona trzęsły się od śmiechu. Mouquette śmiała się również, nieprzyzwoita i wyzywająca w opiętym kombinezonie, podkreślającym jeszcze nadmierną wypukłość jej kształtów.

Ale śmiech ustał, kiedy Mouquette powiedziała ojcu Maheu, że Florka, wielka Florka, nie przyjdzie więcej do pracy. Znalaziono ją wczoraj nieżywą na łóżku. Jedni mówili, że jej się serce oberwało, a inni, że za prędko wypila litr jałowcówki. Maheu był zrozpaczony. Znowu